



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowieca i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

OD WYDAWCY.

Początek drukującej się obecnie w dodatku do „Bluszcza“ powieści

pod tytułem:

RUBIKON

nowi prenumeratorowie otrzymać mogą na żądanie bezpłatnie.

Michał Cervantes.

Hiszpania święcić ma w roku bieżącym wspomnienie wielkiego swego poety, Michała Cervantesa, twórcy znakomitego dzieła „Don Kiszot“, które zajmuje miejsce wybitne nie tylko w hiszpańskiej, ale europejskiej literaturze XVI wieku, należąc już do dzieł klassycznych, przechowujących się niesmier-

telnie w piśmiennictwie. W stosunku do nas utwory te przedstawiają zajęcie wyższe, pewne powinowactwo duchowe, bo rozwój literatury naszej, wiek jej złoty, przypada na ten właśnie moment, gdy Cervantes, wieszczycerz, tworzył na tle takim samym jak poeci nasi: Wespazyan Koehowski, Samuel ze Skrzypna Twardowski, Stefan Slimia, towarzysz husarskiej chorągwi Sobieskiego w wyprawie na Chocim. Nieprzyjacielem był tu niejako ten sam; wycieczki tatarów krymskich odpowiadają napadom korsarzy algierskich, korsarzy z Tunisu, z Tripolis i gdy wyżej wymienieni wieszczowie z naszym Wacławem Potockim opiewają walki z pohanami pod gorącym natchnieniem głębokiej wiary, Cervantes czyni to samo w zakresie swoim a stosunek Hiszpanii do Algieru odpowiada w natchnionych płodach jego muzy pieśniom poetów ukraińskich.

Tłem jest tu i tam ów jasyr muzulmański, którego obrazy ukazują tyle naszych postaci bohaterkich i wytwarza to poematy bogate w obrazy barwne poświęceń rycerskich. Cervantes rozbudził w sobie natchnienie wśród takich też prób bolesnych. Pięć lat był w jasyrze korsarzów algierskich, gdzie spotykał się z brańcami i brankami przygnanymi z Ukrainy, Podola, Wołnia, Węgier, sprzedawanymi jak zwierzęta robacze na targowiskach Azji i Afryki, gdy jeńcy nasi w Krymie widzieli na odwrót gnanych jak stado bydła hiszpanów, poczynając od dumnego hidalgo do wybladłego, w okrutnych próbach losu znękanego kapłana, lub nieszczęsnej czarnobrewy, w której zrenicach palił się ogień głuchej rozpacy.

Poeta urodził się w 1547 r., w miejscowości górzystej de Henares, ojciec jego, Rodryg Cervantes, zaślubił Leonorę Cortinas, a obaj mieli w żyłach krew dumnych hidalgów, a choć to był ród zubożały, wywodził się ze starożytnego szepu Saavedra, którego praoojciec na pięćset lat przed urodzeniem się poety już byli mężnemi rycerzami krzyża i z pokolenia w pokolenie staczali walki z Maurami wśród gór i wąwozów swoich, a krew ich zboczyła wszyst-

kie te zasieki natury, które były ich twierdzami. Niektórzy z tego rodu puścili się za morze, do Ameryki, ale większość pozostała na miejscu żyjąc w ubóstwie, lecz strzegąc gorliwie szlacheckich herbów swoich i bogactwem dawnej chwały, dawnej dostojności, podnosząc się po nad ubóstwo obecne.

Obraz tego życia, opartego o podwaliny przeszłości skreślił Cervantes w obrazach, które przypominają naszą szlachtę zagonową. Dworek zubożałego hidalgo był bardzo skromny i prosty, zawsze przecie otoczony drzewem i z ogródkiem jakimś w tyle a w stajni stał koń wierzchowy, jakkolwiek stary i ostro kościsty, a obok tego na ścianie gościnnej izby wisi zbroja starożytna i włócznia zardzewiała, a tradycyi odwiecznych pilnuje się tu jak przykazaniu religijnym. Soboty poszcza się najciszej, bo wotum to jest uczynione przez szlachtę kastylską przed bitwą pod Tulużą i nie łamie się go nigdy jak zobowiązania nieodwołalnego. W takim też układzie życia, w kole takich pojęć i tradycyi upływało dzieciństwo i młodzieńcze lata poety; nie było zasobów dostatecznych, aby mógł kształcić się wyżej, choć też w pobliżu istniało ognisko światła, uniwersytet sławny na kraj cały. Miasto Alkala, założone niegdyś przez Maurów, wznosiło tuż prawie wysoko ku niebu strzelające wieżycy świątyni i gmachów wspaniałych, wśród których widniały obok trzydziestu ośmiu kościołów, mury uniwersytetu o dziewiętnastu kolegiach i naukowy ruch życia był tu wysoko rozwiniętym. Kardynał Xymenes, postać jaką wydać mogły jedynie czasy tego okresu, oddany całkowicie nauce, uczynił Alkalę stolicą nauk; z pod pras licznych drukarni wychodziły księgi, pisane po łacinie, po grecku, po chaldejsku i wszystko, co starożytne wieki pogańskie i chrześcijańskie wydały w zakresie i sprawie nauki, tu się gromadząc, jednoczyło i wpływ to był potężny, przyciągający młodzież wiedzy pragnącą z prowincyi różnych: z Katalonii, z Andaluzji, z Kastylii i liczba uczniów dosięgała 11.000 osób.

Łączyły się tu obok wpływów Rzymu i wiedzy, sztuki włoskiej, nauki ścisłej, które sprowadzili Arabowie, i umysł chciwy wiedzy mógł już czerpać ze źródeł wielorakich. Cervantes czy z braku zasobów pieniężnych, czy może przez niechęć poddania się stałym regułom, obowiązującym akademików, nie wszedł nigdy do ich grona, a gdy potem zazdrośni jego sławie zarzucali mu, iż jest samoukiem, odpowiadał im spokojnie, że duch technię, gdzie chce. Niemniej kochał naukę i rozumiał jej znaczenie dla umysłu, czytywał dzieła uczonych, ale potrzebował technię żywego życia, aby mógł tworzyć, czy rymem, czy prozą. Poezya natury silnie oddziaływała na niego, potrzeba mu było widoków otwartej przestrzeni, pól, lasów i w przyrodzie też jak i w utworach poetów szukał sobie wzorów a raczej natchnienia, które by rozbudzone przez objawiające mu się piękno malowało obrazy ideałów, ku którym wyciągał ramiona.

A miał on dwóch przewodników na pozór nie harmonizujących ze sobą, którzy przecież działali tu zgodnie, a raczej dopełniali się w odrębnościach swoich. Książd Juan Lopez, poeta równie jakkolwiek nie składał rymów, kochał młodzież, której ducha uskrzydlała poezja i z wielkim zamięłowaniem wspomagał młode talenta. Śmierć królowej Izabelli dała mu powód do urzędzenia konkursu na poezję opiewającą jej cnoty, jej zasługi jako chrześcijanki i przysłany tu wiersz Cervantesa uderzył go. Były tu i miejsca słabsze, ale on zwrócił uwagę na to, co przemawiało siłą gorącego uczucia, odkrył zarodek geniuszu w uniesieniach młodzieńca i stał się dla niego przewodnikiem i opiekunem.

Poeta jesteś!... rzekł mu, a wyrazy te odbiły się w duszy młodzieńca, który skreślił wkrótce potem sonet jakoby na temat tego wykrzyknika poetki naszej, Żmichowskiej: — Ach! być poetą!... Drugą osobą, która dopomogła młodemu orłowi, aby rozwinął lot ku górze, był Lopez de Rueda aktor, komik, który pisał i na czele trupy wędrowniej przedstawiał pastorelle i komedijki wesołe lub satyryczne na rynku wjejskim. Powtórzył i on te wyrazy. — Poeta jesteś... a młodzieniec uczuł, że siła twórcza drga mu w piersiach, ale drugostronne wpływy i szlacheckie tradycje rodzinne kazały mu być ryccerzem, a i tu przedstawiał się oczom jego ducha ideał szczytny.

Brat jego Rodryk przywdział wtedy właśnie zbroję, aby walczyć za Hiszpanią we Flandryi, ale ów wiersz konkursowy na śmierć królowej Izabelli zwrócił uwagę nuncjusza papieżkiego, kardynała Aquaviva, zapragnął poznać poetę i rozmiłował się w nim, zechciał też: aby poznał Włochy i arcydzieła sztuki, które się tu mieściły, ale muza młodzieńca rozbuździła w nim ten ogień uczuć, któremu potrzeba było czynu—poezyi wcielonej w żywe życie. Potęga muzulmańska przedstawiała się wtedy właśnie państwu chrześcijańskiem jako siła groźna; flota turecka panowała na morzu, a korsarze tego narodu rozsiewali postrach do koła. Grecya stała się dla nich wielkim obozowiskiem; wypuszczające się z tamąd hordy plondrowały wybrzeża Europy i dwudziestoletni młodzian uczuł gorętsze bicie serca w łonie. Między 1565 a 1571 r., morze Śródziemne przedstawiało jakoby ogromny plac boju; dla młodzieńca, którego męzka siła zaczynała wrzeć w piersiach—dla poety, było to niby odsłoną wielkiego dramatu z tłem pysznym i dziwnie barwistym. Występowali tu nietylko ludzie, ale wielkie idee.

(Dokończenie nastąpi).

NOTATKI PEDAGOGICZNE.

— „Myśli o wychowaniu i nauczaniu“ przez Henryka Wernica, wydane w dwudziesto pięcioletnią rocznicę jego pracy pedagogicznej (Warszawa 1895 r.). Zgromadzone tu są wszystkie myśli autora o wychowaniu, wszystkie jego poglądy na teorię

i praktykę w tym zakresie, mieszcząc nietylko reguły same, ale i wskazówki, jak należy postępować w obec różnorodności uzdolnień, kierunków umysłu ludzkiego, oraz wymagań, jakie dzisiejszy stopień nauki stawia przed uczącą się młodzieżą. Podniesiono tu niemal wszystkie ważniejsze strony działań wychowawczych, jak: kształcenie serca, pieszczoty, wzruszenia przygnębiające, surowość, korespondencją dzieci z rodzicami, przygotowanie do szkół, pracę domowego nauczyciela, nauczanie łstne. Autor skreślił to wszystko na podstawie wieloletniego doświadczenia, opierając wnioski swoje na psychologii dziecka i prawach fizjologicznych młodego organizmu.

— Przegląd Pedagogiczny drukować będzie, poczynając od początku bieżącego roku 1895, „Kurs samokształcenia“ i redakcyja pisze: „Przez wykłady te chcemy przyjść z pomocą tym wszystkim, którzy wykształcenie swe średnie, lub specjalne, chcą dopełnić wyższem lub ogólnem.“ W „Wykładach“ uwzględnione będą przedewszystkiem ogólne zarysy nauk, podstawowe ich pojęcia i metody, najdonioślejsze wyniki filozoficzne. Najlepsze siły naukowe przyjęły udział w tem wydawnictwie. Wykłady kolejno (po 2—3 jednocześnie) drukować się będą a to: „Klasyfikacya nauk ze stanowiska potrzeb ogólnego wykształcenia“ w opracowaniu Wł. M. Kozłowskiego. „Filozofia i teoria poznania“ tegoż autora; „Psychologia“ J. Wł. Dawida, „Estetyka“ C. Jelentego (Hirszbanda) „Antropologia i Socjologia“ L. Krzywickiego, „Językoznawstwo porównawcze“ A. A. Rogińskiego, „Literatura“ (zasady krytyki literackiej) P. Chmielowskiego, „Historya“ (ocena źródeł, opisanie historyi) Tadeusza Korzona, „Ekonomia polityczna“ H. Herynga, „Nauka o ziemi“ (zadania i metody geograficzne, wskazówki dla samodzielnych badań krajoznawczych) W. Nałkowskiego, „Matematyka“ S. Dicksteina, „Biologia“ M. Flauma, „Botanika“ Wład. M. Kozłowskiego, „Fizyka“ W. K. Półkotyckiego i inne. Trudności i kwestye wątpliwe, jakie w ciągu czytania nasuwać się mogą, rozjaśniać będą autorowie odnośnych wykładów w odpowiedziach, umieszczanych w *Przebiegu*. Potrzebę tego wydawnictwa odczuwano od dawna.

— „Początkowe wiadomości o ziemi“ przez Annę Nałkowską (Warszawa 1895 r.) nakład M. Arcta, jest to podręcznik geograficzny dla małych dzieci, ułożony bardzo przystępnie metodą poglądową, na podstawie dzieła W. Nałkowskiego „Geografia rozumowana.“ Książeczka to nieduża o 125 stronniach, zawiera przecież cały materiał geograficzny, dostępny dla tak młodych czytelników, a przedstawiony przez autorkę jasno, przecież zwięźle a dziewiędziesiąt dodanych rysunków pomaga do zrozumienia tego, co trudniej było by wykazać dziecku przez słowa. Autorka radzi przecież nauczającym, aby przed rozpoczęciem nauki dzieci odbywały wycieczki w pole, do lasu, dla obznajmienia się pewnego z naturą.

— Francuzka pani, Laura Cottinet, podniosła głos w miesięczniku poświęconym sprawom wychowania „Revue Pedagogique“, aby utworzono kursa prawne dla kobiet najpierw w Paryżu, a następnie przy odpowiednich instytucjach naukowych na prowincyi, a to na podstawie, iż kobieta niemniej jak mężczyzna ulega władzy prawa, zatem potrzebuje wiedzieć jak należy jej kierować się w życiu, aby nie przestąpiła jego nakazów, a zarazem umiała bronić własności swojej, gdy jest poszkodowaną. Dodaje ona przytem, że prawo przedstawia nam przepisy tego, co jest postępkim sprawiedliwym, lub niesprawiedliwym w stosunku do bliźnich, więc daje nam wiedzieć jak rozsądnie i uczciwie postępować możemy w razie jakiejś kolizyi interesów. W wymienionem powyżej piśmie inspektor paryzkich szkół żeńskich, Tutsé, powtórzył zdanie jednej dyrektorki szkoły dziewcząt: „Najlepszem przygotowaniem się do stanu nauczycielskiego jest, obok wykształcenia naukowego, wykształcenie moralne. Wpajajmy tu więc zamięłowanie pracy, zapomnienie własnego ja, pragnienie wiedzy szerszej; pomóżmy istotom młodym, aby wytworzyły sobie ideał życia szlachetny, ku któremu dążyłyby bez przerwy. A gdy dodane tu zostaną potrzebne wiadomości naukowe, wiadomości zawodowe, odczytanie rozszerzające

umysł i dające podnioślejszy pogląd na życie, nauczycielka stanie się zarazem mistrzynią, która wpoi w serca młode szlachetne pojęcie celów, ku którym dążyć ma ludzkość, a które stanowią postęp.“

— Na ostatniem posiedzeniu paryzkiej Akademii Medycznej lekarz Matais z Angers podniósł głos w sprawie postawy przybieranej przez dzieci na ławach szkolnych. Według jego zdania najważniejszą przyczyną krótkowidztwa i krzywienia się kości pacierzowej, oraz złego stanu żołądka i zaburzeń funkcyj serca jest, że dzieci pisząc siedzą przy pisaniu przeważnie stroną ciała lewą i opierają się na łokciu lewej ręki, pochylając się po nad zeszyt, przez co następują ważne zaburzenia w żołądku, obok szkodliwego dla organizmu zgięcia się krzyża, w skutek czego następuje złe trawienie, oraz nieregularny przypływ krwi do serca, co staje się przyczyną wielu chorób. To samo dzieje się z osobami pracującymi w biurach, z literatami piszącymi dużo a w miarę wieku złe się podwaja. D-r Matais uważa też za obowiązek rodziców i wychowawców, aby ucząca się młodzież trzymała się przy pisaniu prosto a zarazem, aby stół do pisania i krzesła czy ławki szkolne odpowiadały potrzebnym tu warunkom dobrego siedzenia.

— Londyńska Rada Stanu podjęła rozbiór kwestyi, zali szkolne kassy oszczędności są rzeczą pożyteczną, lub przeciwnie oddziaływając na moralną stronę dzieci przez rozbudzanie miłości grosza, przez skierowywanie myśli młodej w stronę nabytków materialnych? Odpowiedź, przeprowadzona przez głosowanie, nie była przychylną dla tych instytucyi; dziecko nie utrzymuje się jeszcze groszem własnym, więc zbieranie, gromadzenie pieniędzy nie jest dla niego kwestyją zaspokojenia potrzeb koniecznych, a może przeciwstawić się enotom, które już powinny się rozbudzać w sercu młodem, jak miłosierdzie dla ubogich, jak pomoc koleżeńska. Niech młodzież zna wartość pieniędzy, jako środek działania w rozmaitych sprawach życia i zaspokojenia potrzeb, ale niech nie przywiązuje do nich wagi wyższej niech nie—uważa ich za skarb najdroższy, bo nieraz w życiu człowiek zawołać może, jak ów w bajce głodny podróżnik wśród pustyni, znajdując tam worek jakiś:— „Myślałem że to kasza, a to są dyamenty...“

— Francuzki minister oświecenia, Spuller, przemawiając z początkiem roku szkolnego do nauczycieli szkół, tak się do nich odezwał:— „Nie zapominajcie nigdy, że skoro dostrzeżonem by zostało, że zamiast być ludźmi niosącymi sztandar wiedzy i obowiązku, jesteście niepotrzebnym sprzętem wśród życia społeczeństwa waszego, Ściągnięcie na siebie niechęć, która odbierze wam szacunek. A jednakże jest on wam potrzebnym, abyście mogli być użytecznymi, wpływowemi ludźmi. Wasze postępowanie powinno być dla uczącej się młodzi przykładem nieustannym. Trzeba abyście przez podniołość waszych uczuć, przez roztropność waszych postępków, przez dostojność waszego życia zaskarbili sobie szacunek i miłość ludzką. Cel ten osiągniętym być przecież może wtedy tylko, gdy będziecie przedstawiać w osobie swojej razem enotę i rozum, poświęcenie się dla obowiązku podjętego. Jest to wasza powinność tak, jak jestto powinnością, rodziców. Wychowawca każdy to kapłan...“

BOLESŁAW PRUS

(Alexander Głowacki).

(Dalszy ciąg).

Pomiedzy temi drobnymi utworami spotykamy rzeczy najrozmaitszej wartosci pod względem pomysłu, i wykonania; wogóle wszakże rzecz można, iż

są to prace mierne, pisane częstokroć bez głębszego namysłu i nie odznaczające się staranniejsem obrobieniem; świadczą one, że Prus, który tak wybitnie zajął stanowisko jako powieściopisarz, jako nowelista nie przekroczył granic zwyczajnych. Do utworów bardziej wydatnych możnaby tu zaliczyć takie nowelki, jak np. „Kamizelka“, „Przy księżycu“ i „Milknące głosy“; godne są one uwagi przede wszystkim z tego względu, że widzimy w nich obok zwykłego autorowi humoru rzewność, co tem większe ma w danym razie znaczenie, że w ogóle Prus, jako pisarz nawskroś realny, jest dalekim od wszelkich objawów czułościowości i sentymentalizmu. Rozrzucającem jest np. opowiadanie starego nauczyciela francuza („Przy księżycu“), który, opuściwszy kraj rodzinny przed trzydziestu laty, wciąż marzy o powrocie, gdy tymczasem los nieprzejrzany nieustannie stawia mu przeszkody i to w chwili, gdy tułacz jest już blizkim urzeczywistnienia swych marzeń. Rzewnym jest również, aczkolwiek bez należytego pogłębienia psychicznego wykonany opis powrotu starego żołnierza Napoleońskiego do Warszawy, gdzie wszystko ku wielkiemu zdumieniu wiarusa ogromnie się zmieniło; wreszcie takąż rzewnością odznacza się nowela p. t. „Kamizelka“, gdzie widzimy, jak żona, chcąc przed chorym na suchoty mężem ukryć postępowe opadanie z ciała, codziennie pokryjому skraca mu pasek u kamizelki, zaś mąż, by nie trwożyć żony postępow choroby, ucieka się do podobnego wybiegu, posuwając sprzączkę. Tą właśnie nowelką można uważać za najlepszą w całym tym dwutomowym zbiorze. W dalszym ciągu spotykamy tu kilka nowel („Nowy rok“, „Żywy telegraf“, „Na wakacjach“, „W górach“, „Cienie“ i „Pleśń świata“), mogących stanowić osobną kategorię prac drobnych, a to ze względu na to, że w nich autor nie charakteryzuje jakichś postaci, ale uwydatnia pewne myśli filozoficzne, wysnuite z faktów życiowych. Tak np. w „Pleśni świata“ znajdujemy porównanie bezwiednej walki istot mikroskopowych, stanowiących pleśń na kamieniu, do walki gromad ludzkich: w „Cieniach“ zaś czyni autor niezmiernie trafne i oryginalne porównanie latarnika, przebiegającego o zmroku ulicę miejską z wzniesioną do góry pochodnię dla zapalania latarni, do ludzi, przyswiecających ogółowi drobnymi światełkami wśród pomroki życiowej.

Wracając do nowel odtwarzających pewne typy, spotykamy pełną humoru nowelkę p. t. „Pominięty“, w której nieuczony wynalazca nowej formy guzików i sposobu ich przytwierdzania do odzieży przy kufelku piwa użala się przed autorem na los i ludzi nie umiejących ocenić jego wynalazku. Mówiąc o doniosłym znaczeniu guzików w stosunkach społecznych, maniak ów tak kończy swoje wywody: „A w polityce, myśli pan, guziki nic nie znaczą? Kiedy prusacy w r. 1870 we stu konwojowali cały pułk francuzki do fortecy, to co im dla bezpieczeństwa zrobili? Nie wzięli chłopów, tylko oberżnęli im wszystkie, wszyściuteńkie guziki. Rozumieli gałgany, że taki, co musi nieść w rękach całe odzienie, nie będzie robił polityki“. Monolog ów jest jednym z bardziej typowych okazów humoru Prusa, który rad potracą z lekka wszelkie takie rzeczy, które mogą wywołać rumieniec na twarzy płci pięknej.

Niezlą jest również nowelka p. t. „Katarzynka“, gdzie widzimy postać starego mecenasa, który nie znosi podwórzowej gry na katarynce, a jednakże zdobywa się na cierpliwość słuchania jej i nawet każe stróżowi jaknajczęściej sprowadzać katarzyniarza, przekonawszy się, że gra ta sprawia przyjemność ociemniałej dziewczynie z przeciwka. „Stara bajka“ daje nam wizerunek młodego obywatela wiejskiego, który, odziedziczywszy po ojcu czysty majątek, dzięki życiu próżniaczemu i lekkomyślności zdołał go utracić w krótkim bardzo czasie, poczem zmuszony w Warszawie przyjąć lichą posadę, zapewniającą mu skromne utrzymanie. Jest to jeden ze słabszych utworów, który nie odznacza się ani oryginalnością pomysłu, ani dobrem wyzyskaniem przedmiotu. Takich typów, jak młody Furdasiński, bohater noweli, mamy w naszej beletrystyce bardzo wiele, a kwestya utraty własności ziemskiej niejednokrotnie była głębiej i bardziej wyczerpująco poruszana. Lepszym natomiast jest utwór p. tyt.

„Grzechy dzieciństwa“, który możnaby nazwać sielanką młodości swojego rodzaju, oczywiście sielanką nie w pojęciu romantyków naszych z pierwszej połowy b. s., ale taką, jaką realizm Prusa odmawiać potrafi. Kazio, syn rzadcy dóbr hrabiny, po śmierci matki pozostawiony samemu sobie bez opieki kobiecej, równie jak młode żrebię w polu, zdradzając niesłychanie żywy temperament i urwisowatą naturę; oddany przez ojca do gimnazjum jako pierwszoklasista słynie ze swych psot i figlów, skutkiem których nieustannie miewał „stosunki“ z inspektorem szkoły, co zapewniało mu wśród kolegów wielką popularność „tem istotniejszą, że nikogo nie pobudzała ona do konkurencji“. Dopiero za przybyciem na wakacje do domu ojcowskiego rozpoczyna się dla chłopca „sielanka młodości“, uwydatniona w jego stosunku miłosnym do córki hrabiny, a kończąca się burą od ojca, który w tym czasie traci swoją posadę. Jest to niezmiernie barwny obrazek, skreślony z właściwym Prusowi humorem i z dobrą znajomością żywej, nieokiełznanej natury dziecka.

Do najslabszych prac urywkowych w tych dwóch tomach możnaby zaliczyć takie utwory, jak np. „Kocha nie kocha“, „Podwójny człowiek“, „Pan Dudkowski i jego folwark“, „Na pograniczu“, które są niczem innym jeno farsą, napisaną w przystępie dobrego humoru i mogącą zadowolnić tylko bardzo niewybrednego czytelnika. Do tejże kategorii utworów słabych, aczkolwiek nie już wspólnego z farsą nie mających, należy także cokolwiek obszerniejsza nowela p. t. „Przekłete szczęście“ (1876) i powiastka p. t. „Dusze w niewoli“ (1877), stanowiąca czwarty tom dzieł Prusa, wydanych przez spółkę nakładową. Wprawdzie były one napisane w pierwszej epoce twórczości autora, gdy talent jego nie miał jeszcze czasu potężnie się rozwijać, by od zwyczajnych nowelek i obrazków humorystycznych przejść w sferę powieści i to jeszcze o cechach dramatycznych, którei właśnie oba te utwory się odznaczają. Dały one w swoim czasie pochoop krytyce do twierdzenia, jakoby Prus jako humorysta nie posiadał wcale talentu dramatycznego; że mniemanie to było niesłusznem, okazała przyszłość, gdy znakomity powieściopisarz w „Emanecypantkach“, o czem powiem obszerniej na swoim miejscu, dowiódł, że i sytuacje dramatyczne umie doskonale wyzyskać. „Przekłete szczęście“ i „Dusze w niewoli“ są utworami chybnymi przede wszystkim z tego względu, że brak im subtelniejszego, a koniecznego w takich razach wycieniowania charakterów działających osób, a następnie brak zupełny umotywowania czynów. Skutkiem tego czytelnik żadną miarą nie może zrozumieć, dlaczego np. Wilski („Przekłete szczęście“) w kilka miesięcy po ślubie rzuca raptem ukochaną żonę, aby zawiązać stosunek miłosny z żoną bankiera, którą znał przecież dawniej za czasów kawalerskich i mimo to zachowywał się w obec niej całkiem obojętnie. Również bardzo naciągane są motywy postępowania Sielskiego („Dusze w niewoli“) w stosunku jego z Lachowiczem i jego siostrą Zofią, gdzie spostrzegamy usiłowanie wytworzenia scen oryginalnych, niezwykłych, a w istocie budzących niesmak jeno. Jedyną sceną, istotnie godną talentu Prusa, jest rozmowa Lachowicza z ojcem, pijakiem nałogowym, pozbawionym już wszelkiego poczucia godności osobistej; skreślenie tej sceny można śmiało nazwać mistrzowskim.

O całe niebo wyższą jest od poprzednich dwóch utworów trzecia z kolei powiastka p. t. „Anielka“ (1880), wypełniająca trzeci tom dzieł wydanych przez spółkę. Bohaterka powiastki 13 letnia Anielka jest córką p. Zana, właściciela mocno zadłużonego majątku, który ostatecznie przechodzi w ręce Niemców. Lekkomysłny p. Zan zostawia przyzwyczajoną do zbytków, wygod żonę z dwójgiem dzieci na opatrności boskiej, sam tracąc resztę pozostałego mu grosza ze sprzedaży ziemi. Rodzina więc znajduje najpierw schronienie na nędznym folwarku; poczem gdy matka chorego wyjeżdża do miasta w celu widzenia się z bogatą córką i tam umiera, Anielkę niebezpiecznie chorą i jej małego brata bierze do siebie milionerka Weiss, z którą p. Zan ma zamiar

się ożenić, i tam biedna dziewczyna pomimo starań lekarzy umiera, dowiedziawszy się o śmierci matki. Treść utworu, jak widzimy, jest bardzo prosta, a jednakże autor umiał w nią wlać tyle życia i prawdy, z wielką prostotą a mimo to tak plastycznie uwydatnić szczegóły, że powiastkę tę można śmiało uważać za pierwszą znakomitszą pracę Prusa w szeregu obszerniejszych utworów jego. Najwięcej artyzmu widzimy tu w przedstawieniu głównej bohaterki. Anielka, pozostawiona samej sobie, wyrosła swobodnie wśród natury, do której całą duszą przylgnęła; nie dziw więc, że wołała karmić wróble lub bawić się z ulubionym psem karuskim, niż wydawać wykutą na pamięć lekeję przed nauczycielką. Widząc złe lub nieaktowne postępowanie ojca z matką i wieśniakami, z którymi nie umiał on nawiązać żadnych przyjaźniejszych stosunków, nie krytykuje wprawdzie czynów jego, a jednakże czuje, że mimo woli, bezwiednie jej skala uczuć miłości dziecka i szacunku z każdym dniem się obniża. Z wielką siłą uczucia i subtelnością skreślił autor dzieje choroby Anielki, wywołując w duszy czytelnika głębokie wrażenie i współczucie dla biednej istoty, cierpiącej za winy rodziców. Obok tej głównej postaci mamy tu kilka podrzędnych figur, skreślonych również doskonale; tak np. znakomitą jest postać nauczycielki, starej panny Walentyny, wciąż podejrzliwej Zana o miłosne względem niej zamiary; dobrze jest przedstawiona matka Anielki, nieustannie chorująca i wierząca tylko w Chałubińskiego; w dalszym ciągu występuje przed nami w bardzo sympatycznym oświetleniu postać Szmula, arendarza, i ciotki Andzi, kobiety prostej, ale o wielkiem sercu; a nawet i pies karusek, zdychający u nóg Anielki z głodu, zmęczenia i rany, otrzymanej z postrzału, znalazł w powieści wiele sympatyczne odzwierciedlenie.

Następnym z kolei utworem Prusa jest opowiadanie p. t. „Omyłka“ (188), o którym tu obszerniej mówić nie możemy, natomiast ciekawych czytelników odsyłamy do pięknej oceny tego poronionego utworu pióra Konopnickiej w „Gazecie Polskiej“ w Nr 16 z r. 1888; tu tylko dodamy, że jakkolwiek strona artystyczna tej pracy nieznacznym ledwie podlega zarzutom, atoli samo założenie jest najniefortunniejsze; zaiste podziwiać przychodzi, jakim sposobem pisarz, tak poważny jak Prus, nie zrozumiał przede wszystkim tej szkody, którą ów utwór jego mógł przynieść ogółowi.

W roku następnym (1886) ukazała się nowa powieść Prusa „Placówka“, która od razu obadziła wielkie zajęcie wśród ogółu czytelników, dzięki z jednej strony poruszeniu przez autora bardzo żywej kwestyi społecznej, a z drugiej—ukazaniu przed nami natury chłopca w takim oświetleniu, w jakim dotychczas nie występował on w naszej beletrystyce. Chłop Slimak, posiadający kawałek gruntu poza gruntami dworskimi, musi staczać zacieklą walkę z kolonistami niemieckimi, którzy, kupiwszy wioskę od lekkomyślnego obywatela, chcą również nabyć i od chłopca jego posiadłość niezbędną im potrzebną, a nie mogąc go w żaden sposób nakłonić do dobrowolnej sprzedaży, postanawiają zgnębić materyalnie i tym sposobem zmusić do odstąpienia im ojcowizny. Atoli Slimak pomimo niesłychanie ciężkich prób, przez które przeszedł, nie tylko utrzymał się na stanowisku, ale stał się jeszcze przyczyną odprzedania włościanom okolicznym przez kolonistów niedawno nabytych gruntów dworskich.

J. Nitowski.

(Dokończenie nastąpi).

BLUSZCZ

OBRAZEK Z ŻYCIA RODZINY

przez

Maryana Gawalewicz.

(Dalszy ciąg).

Zdawało mu się, że tem małżeństwem składa najważniejszy dowód swoich uczuć, że skoro ją „bierze,” to wystarcza, to uświęca ich stosunek wzajemny, to czyni zadość wszystkiemu i że niema o co więcej pytać w takim wypadku.

Wicunia zaś była w nim zakochaną, jak umieją być zakochane młode dziewczęta, którym po raz pierwszy w życiu „serce zabiło *tempo v voce*.”

Podobał się jej nie tylko dlatego, że był ślicznym chłopcem, bo ślicznych chłopców widziała dosyć i sama była śliczną dziewczyną, ale młodą, i niedoświadczoną, trochę egzaltowaną jej duszę pociągnął ku niemu urok artyzmu, który umiał sobie nadawać, ilekroć mu na tem zależało.

Mówił o sztuce, o śpiewie, o muzyce z afektacją, którą ona za szczery zapal brała; nazywał się artystą i uważał za coś wyższego od tego pospolitego mrowia ludzi, którzy stanowią rodzaj zjadaczy chleba i polędwicy, jakkolwiek i on tym chlebem — zwłaszcza przy polędwicy — wcale nie gardził a nawet okazywał smak bardzo wybredny i lubił dobrą kuchnię, dobrą piwnicę, dobre cygara.

Ale lubił to wszystko niby inaczej, niżeli zwyczajni smakosze i pieczeniarze; uważał niejako za obowiązek swej wyjątkowej natury i indywidualności, żywić się wyjątkowo, lepiej od innych śmiertelników, bo ostatecznie „albo się jest czemś lepszym, albo się nie jest,” a jeżeli się jest, to przecież należą się człowiekowi wyróżnionemu przez samą naturę także pewne wyższe względy i przywileje.

Grosiecki miał ten dar narzucania swojej wyższości wszystkim, którzy na to pozwalali, a zwłaszcza kobietom, począwszy od poczciwej i łatwowiernej matki swojej, która wierzyła ślepo w swego Walerka i była dumną ze swego syna, chociaż dobrze nie byłaby się umiała wyłomaczyć z tego, co ją taką dumą przejmowało.

Mówiła sobie „mój Walerek” i to jej wystarczało, aby widziała w nim wszystko najlepsze, niepospolite, doskonałe.

Matką była i miała jego jedyne, dla którego miłość macierzyńska mieszała się z macierzyńskim egoizmem.

Wicunia podobała jej się szczególnie z tego, że była w jej Walerku zakochaną.

Kto Walerka kochał, zyskiwał od razu i jej względy, zaufanie, sympatye, przyjaźń, szacunek; poczuwała się po prostu do obowiązku wzajemności za syna i do wdzięczności za siebie samą.

Wicunię polubiła też bardzo z początku, ale głównie za tę miłość dla niego, która w jej oczach macierzyńskich stanowiła najważniejszą, może nawet jedyne zaletę, godną uznania w przyszłej żonie i dozgonnej towarzysze Walerka.

Na artyzmie, na muzyce nie rozumiała się prawie wcale; to tylko było piękne, co syn pochwałił, to najpiękniejsze, co on sam czasami zaśpiewał, bo oprócz niego na świecie nie było więcej artystów, — to jest, byli, ale nie tacy, jak Walerek, o nie!...

Ona wprawdzie innych nie wielu słyszała, lecz nie była nawet ciekawą ich usłyszeć; po co?... wszakże i tak była przekonana, że ani takiego głosu, ani takiej szkoly, ani takiej przemyślenia, ani nie takiego, co on jeden, nie posiadał.

Oni wszyscy nie byli przecież „jej Walerkami”!

A jednak, co prawda, ona go nawet nigdy nie słyszała śpiewającego w właściwym znaczeniu tego wyrazu, nie widziała go ani na scenie, ani na estradzie, z nutami w ręku wobec pełnej sali, wobec słuchaczy, krytyki i znawców, bo gdzież go miała słyszeć?

Kiedy miał głos: bawił zagranicą; dochodziły do niej tylko echa jego salonowych tryumfów i publicz-

nych występów, i to jedynie o tyle, o ile jej o tem w swoich listach wspominał, albo w wycinkach z gazet pochwały i wzmianki przysyłał; po powrocie musiał się szanować, oszczędzać, leczyć, nie nadwierać gardła.

Zapraszano go, nagabywano o udział w koncertach i wieczorkach muzycznych, ale opierał się wszelkim pokuszeniom pod pozorem, że się nie czuje dysponowanym, że nie może ryzykować, aby go pierwszy lepszy reporter zerznął w jakimś piśmie za jedną nutę źle zaatakowaną, lub za chrypkę, za którą nie mógł przecież być odpowiedzialnym.

Ona sama nieśmiało ale z głębi duszy namawiała go nieraz:

— Mój Walerku, zrób to, o co cię proszą; zaśpiewaj im raz, niech cię usłyszą, niech poznają!... Cóż ci to szkodzi?... Ani jednego koncertu przecież nie dałeś.

Przegarniał włosy, podnosił głowę i z dumą jakąś uśmiechał się ironicznie:

— Przed kim mam śpiewać?... przed tą hołotą, która się tyle zna na śpiewie, co osioł na ananasach?... Przyjedzie jakieś włoszysko z przedetem gardłem i zacznie im wrzeszczeć z otwartą gębą, jak ziewająca małpa, to ich zachwyci; będą wołali: *bravo*, będą mu klaskali, kwiaty rzucali i pisali łokciowe artykuły, ale swego!... swego nigdy nie ocenią. Mama nie wie, co to jest nasza krytyka!...

Wykrzywił usta, marszczył czoło i wyraz goryczy i niesmaku osiadał mu na twarzy.

— Tu trzeba przyjechać z gotową opinią, z reklamą, — mówił, — z uznaniem zagranicy, żeby się żaden z tych pismaków nie śmiał odezwać wobec poważnej krytyki, a publiczności trzeba imponować wysokim *C*, żeby jej aż bębni w uszach popękały!

I jakby na dowód, iż posiada jeszcze skarby dawne w swoim nadpsutem gardle, odważał się wzięść kilka nut najwyższego rejestru, które wyrzucił z wyjątkową brawurą, że aż szyby w oknach brzęczały, a kiedy mu się ten ryzykowny wysiłek udawał, uśmiechał się z zadowoleniem i robił minę Samsona, który rozdarł lwa i rącznikiem ociera sobie z gracyą posoką poplamione palce.

Na takie pojedyncze rakiety wystarczał mu jego zdefektowany organ i mógł złudzić nawet pozorami siły, świeżości i obszernej skali, ale on czuł to dobrze i wiedział, że na występ publiczny, na zaśpiewanie całej partyi a choćby tylko na popis estradowy niebezpiecznie było ryzykować.

Nie dowierzał już sobie, choć się do tego przyznawać nie chciał.

Nigdy też porządnie całej pieśni, całego frazesu bardziej trudnego nie zaśpiewał pełnym głosem, choć w chwilach lepszego usposobienia próbował udawać przynajmniej, że to jeszcze potrafi; urywał jednak w połowie zawsze z tym grymasem nieukontentowania i lekceważenia, który stereotypowo odbijał się już na jego ustach.

— No i tam dalej! — kończył niby żartem, jakby nie warto było trudzić się dla olśniewania świata swoim talentem i swoją sztuką.

Umiał za to z prawdziwie artystyczną blagą nucić i niby oszczędzając swój organ, dyskretnem *mezza-voce* śpiewał przy fortepianie całe ustępy z oper i śpiewników, pokrywając tym wybiegiem niedostatki i wady swojego głosu.

Wtedy wydawał się śpiewakiem na prawdę niepospolitym i mistrzem dykcji, deklamacyi i wybornej metody w śpiewie.

Ale była to tylko sztuczka, nie sztuka, którą się posługiwał wobec nie-znawców.

W tych popisach prywatnych ogarniał go nieraz prawdziwy zapal artystyczny i wtedy z kokieterijnego *piana* przechodził miejscami w pełny, dźwięczny, brzmiący szlachetnym metalem głos, który wiskał się do duszy, do serca, podrażniał nerwy i wydawał się istotnie nadzwyczajnym organem — przez kilka albo kilkanaście taktów, bo na więcej nie byłoby go starczyło, niestety!...

Takim markowanym śpiewem umiał wywierać wielkie nawet wrażenie; tu się dopiero odsłaniał ów prawdziwie niepospolity materiał, zmarnowany na błędnych drogach eklektyzmu i przeskokach, tak ryzykownych i przeciwnych naturze jego głosu.

Rzewne, uczuciowe, melancholijne dumki, romanse i pieśni rozbrzmiewały z ust jego w tem „markowaniu” szczególniejszym jakimś urokiem i niemi to

głównie wcisnął się do serca Wicuni, która uczuwała jakiś dziwnie rozkoszny dreszcz, kiedy jej śpiewał podczas lekcji owe... bałamuetwa.

Rozmarzało ją to, jak ciche dźwięki eolskiej harfy, jak balsamiczny powiew wietrzyka w letnie wieczory, lub promień księżycy wpadający do ciemnej sypialni...

— Jaka w nim musi być artystyczna dusza! — mówiła sobie, słuchając go tak z przymkniętymi oczyma i tonąc w niemym, lubym, nieśmiałym zachwyte.

Nie wiedziała, że to jej dusza właśnie była tą harfą eolską o świeżych, złotych strunach, która poruszona technieniem jego dźwięczała całymi akordami dziwnej harmonii.

Tak samo działała na nią woń kwiatów, świergot ptaszek w słoneczny dzień wśród gąszczy drzew, śpiew słowika nocami, malowniczy widok, ładny obraz, dobra książka, rozmowa o rzeczach nieposwednich, wszystko, co tylko estetyczny jej zmysł poruszyć mogło i odezwało się do niej choćby najciszej głosem poezji i piękna.

— Ty powinnaś wyjść za mąż za jakiego artystę, — powtarzała jej z dobrotliwym uśmiechem babka, u której wraz z młodszą siostrą wychowywała się po śmierci rodziców.

— Ach, tak! — odpowiadała z westchnieniem a oczy jej wtedy roziskrzały się, powiększały i zdawały otwierać jak okienka, z których młodzianka, dziewczęca, siedmnaścieletnia dusza, wychylała się, niby ciekawy dzieciak, zwabiony muzyką na ulicy.

— Ach, tak, to prawda! — powtarzała sobie w swoich panięńskich marzeniach, — ja muszę wyjść za mąż za artystę.

Pod artystą nie rozumiała koniecznie tego, co się zwykło rozumieć pod tą nazwą; nie o zawód jej chodziło, nie o rodzaj sztuki, nie o malarza, rzeźbiarza, muzyka, poetę, tylko o to coś, co w każdym z nich być musi a bez czego nie byłiby tem, czem są.

Ona tego nazwać, określić, wyrozumować, nie byłaby nawet potrafiła, ale po prostu odczuwała to, jak się odczuwa zapach, ciepło, dreszcz, nie widząc przyczyny, która te wrażenia wywołuje.

W rzeczach na pozór bardzo zwykłych i pospolitych znajdowała to coś, co potrafiło struny jej duszy, że dźwięczała, jak posągi Memnona.

Nieraz z okna swojego patrzyła na liście żołtke, spadające nagle, cicho, jak złote lzy z gałęzi drzew i uważała, że to jest widok bardzo ładny i bardzo smutny, kiedy taki umarły listek wśród wielkiej ciszy w posępny, chmurny dzień jesienny odrywa się i leci ku ziemi!...

I mogłaby była patrzeć na to całymi godzinami, tylko czuła, jak się jej coraz smutniej czegoś robiło na duszy i jak się jej na lzy wtedy zbierało.

A innym razem tak samo przykuwały jej uwagę jaskółki, które pod gzemsem ich balkonu ulepiły sobie gniazdko na wiosnę i hodowały w niem swoje pisklęta.

Zagładała do nich raz po raz i jakaś rzewna tkliwość ogarniała jej serce na widok małych ptaszek, wystawiających swoje czarne główki z oczkami, jak paciorki błyszczące i rozglądających się po świecie.

— Stworzonka!... biedactwa!... Kochanie! — szepotała do nich, wychylona przez balkon, jakgdyby ją rozumieć mogły i nadawała każdemu osobną nazwę, którą dla nich wymyśliła.

Jedno było dla niej Buruskiem, drugie Dziubusiem a trzecie najczupurniejsze i największe Grubaskiem.

Była w tem jakaś dziecięca naiwność ale i kobieca czułość dla tych małych istotek, potrzebujących ciągłej opieki rodzicielskiej a pozostawionych samotnie w opuszczonym gniazdku.

Pewnego razu przez dwa dni nie pozwoliła otwierać zupełnie okna w swoim pokoiku, bo wleciał do niego duży motyl, zwabiony kwiatami rozkwitłymi w doniczkach i cieszyła się z tego skrzydlatego gościa, jakby z jakiego osobliwego nabytku.

— Moja babciu, moja babciu! — wołała uradowana, — on mi dzisiaj latał nad samą głową, kiedy pisałam przy lampie. Bałam się już, że w lampę wpadnie i gotów się spalić, więc go wypuściłam na ogród. Ale to było bardzo ładnie, bardzo ładnie!...

Za muzyką przepadała; sama miała ładny choć wątły ale bardzo dźwięczny głosik, którym śpiewała

czek nie nosek. Bóg wie, co się z tego zrobi, a Tatuś ma jak wyrzeźbiony nos! Patrz-że pani!... wykapany ojciec a chyba mój Walerek...

— Bo pani zawsze tylko: mój Walerek i mój Walerek! — irytowała się Lidzka, — cóż z tego, że do ojca podobny, to już musi być ósmy cud świata, czy co? Munio jest podobny do matki a przynajmniej, że i Wicunia jest także nie brzydsza od pani Walerka.

— No, tak, ale zawsze... — przyznawała półgębkiem Grosiecka, której to porównanie niewłaściwym się wydawało, bo co Walerek to Walerek, a co Wicunia to Wicunia.

Od słowa do słowa dochodziło w podobnych rzeczach do formalnej sprzeczki i kończyło się tem, że obie babki nie patrzyły na siebie przez cały tydzień.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Trzy punkta świetlane w naszych wspomnieniach muzycznych. Cienie. Różnica pomiędzy produkcją indywidualną a szkolarską. Towarzystwo Muzyczne—Lutnia. Teatr.

Kronikarz chwili bieżącej zapisywać musi skwapliwie w książce swoich notatek wszelkie wrażenia jakie mu życie przynosi—nie wolno mu ich pomijać, a przy codziennej niemal ocenie, i klasyfikacji faktów trudniej mu przychodzi. Sprawozdawca, którego nie obowiązuje tak gorączkowy pośpiech, ma tę korzyść, że może spojrzeć na te same fakty z pewnego oddalenia, co mu da możliwość pewnego zgrupowania i ustosunkowania ich wartości.

Przypatrując się z takiego stanowiska zakończeniu roku ubiegłego pod względem muzycznym, spotykamy na drodze trzy świetlane fakty, które jak gwiazdy rozjaśniają ciemność, a przynajmniej szarość tła ogólnego; temi faktami są: koncert Barcewicza, występ Battistiniego w operze, oraz wykonanie w Towarzystwie Muzycznym beethovenowskiego tria z wykończeniem, z jakim nam się u nas spotkać nie zdarzyło.

Barcewicz, który nie często puka do naszych serc i kieszeni własnym koncertem, uległ nareszcie życzeniu swoich wielbicieli i wystąpił w Salaeh Redutowych dnia 8-go Grudnia. Koncert ten stał się ważnym wypadkiem sezonu choćby i z tego względu, że najnie spodziewanej ściągnął niesłychane tłumy publiczności. Tak nie przywykliśmy do tego aby kto w swoim domu był prorokiem, że spoglądaliśmy ze szczerem zdumieniem na zgromadzoną w dniu tym *tout Varsovie*. Ale bo też i program i gra artysty odpowiedziały najzupełniej uroczystemu nastrojowi chwili. Wirtuoz pragnął niejako streścić się całkowicie, wypiewać wszystko co umie, czego pragnie i do czego dąży. I osiągnął cel zamierzony; wszyscy, znawcy i nieznanicy, byliśmy zachwyceni. Usłyszeliśmy aż dwa koncerty: Mendelsohna i Wieniawskiego, a o samej sile i wytrwałości wykonawcy wnioskować możemy ztąd, że oprócz tego odegrał programowych i nadprogramowych numerów 7 czy 8. Oprócz tego bogactwo i różnorodność programu, oraz wyborne usposobienie, w jakim się koncertant znajdował, dozwoliły mu rozwinąć swoją grę z całą swobodą i z całym rozwojem indywidualności. Cenny ten przymiot umie Barcewicz utrzymać w granicach prawdziwego sztuku, to znaczy, że jego indywidualność nie narzuca autorom kompozytorem intencji jakich nie mieli, ale również jest daleką od szkolarskiego chłodu, który zwykł jeszcze gorzej oddziaływać na naszą publiczność niż nawet przesadzone indywidualne zachęcenia. Do najważniejszych zalet gry Barcewicza należy ton duży, oraz jego użycie umiejętne, pełne modulacji i serdecznego ciepła. Umie on na swych skrzypkach śpiewać, a w technicznych zwrotach, choćby najtrudniejszych, zachowuje imponujący spokój, tak że słuchacz ani na chwilę nie przestaje się znajdować

pod estetycznym wrażeniem. Koncerty oba grał z towarzyszeniem fortepianu (wybornie traktowanego przez p. Urstein'a); wprawdzie wolelibyśmy orkiestrę zwłaszcza przy grze solowej tak wspaniałej i szerokiej — ale komu wiadomo, z jakimi przeszkodami i kosztami połączony jest u nas udział orkiestry, ten brakowi jej mniej się dziwić będzie. Z nowości wykonał Barcewicz bardzo wdzięczny romans Biernackiego: „Chant erotique.“ W programmie brali również udział: artystka opery panna Marya Skulska, oraz wielce utalentowana pianistka, panna Ludwika Jankowska.

Teraz przejdziemy do drugiego świetlanego wspomnienia dni ubiegłych, a mianowicie do tria, którego wykonawcami na estradzie Towarzystwa Muzycznego byli: panna Emma Koch fortepianistka, skrzypek p. Floryan Zajac, oraz wiolonczelista Henryk Grünfeld. Każdy z wymienionych solistów zaprezentował się publiczności poważnie; panna Koch w granych utworach klasycznych i salonowych rozwinęła niepoślednią technikę i siłę, której tylko niekiedy brakło wdzięku i wycienianego dość uderzenia; p. Zajac zaimponował słynną Chaconną Bach'a, i przedstawił się jako skrzypek w joachimowskim stylu; Grünfeld, wierny wesołym tradycjom swej rodziny, nie nudził nas poważnymi studjami, ale odegrał parę lekkich utworów z prawdziwym wdziękiem i finezyą, tem cenniejszą, że zastosowaną do basetli; żadna jednak z tych pełnych zalet solowych produkcji nas tyle nie zainteresowała co wielkie trio Beethowena (B dur), wykonane przez tych troje wirtuozów. Większego wykończenia, bardziej koronkowej subtelności w szczegółach, wyobrazić sobie trudno — przytem traktowanie stylowe utworu było bez zarzutu, a technika we wszystkich instrumentach nieposzlakowana. Było to gaudium, dla muzyków zwłaszcza, tak wysokie, że każdy z nich z pewnością zapisze sobie to wspomnienie złotymi głoskami.

Pisząc o Towarzystwie Muzycznym, dodać należy, że wieczory tej Instytucji w ogóle, z małym wyjątkiem, były interesujące, i zapoznały nas z niejedną siłą artystyczną, godną uznania. np: skrzypek p. Meyer choć zimny jak ryba, i trzymający się rutyny, wykazał dobrą technikę, i obeznanie z poważną literaturą; cóż kiedy u nas te przymioty nie wystarczają, skoro mamy wśród siebie Barcewicza. Niefortunnym był ostatni wieczór w którym poznaliśmy śpiewaczkę pieśniową panią Brandstätter, oraz młodego wiolonczelistę, pana Busse. Ostatni jest tak jeszcze świeżo pod wpływem szkoły, i tak jego indywidualność studjami została przygnębioną, że nawet o jej istnieniu poważnie wątpić — by można. Tego rodzaju artyści powinni jeszcze w cichości ducha jakiś czas w domu popracować, zanim swemi produkcjami zaczną „czarować“ tłumy. Przytem wybór nudnego koncertu Volkmana, jakże był niefortunny! Jakże w tej długiej kompozycji sztuczny, zdawkowy pathos beznamiętnie rozwija się przed nami! Skromna jest literatura wiolonczellowa, to prawda, ale tak znów uboga nie jest, aby nie można w niej (nie tykając zbyt oklepanego Goltermanna) nie stosownego wynaleźć. Pani Brandstätter nie ma w sobie tak wysokiego artyzmu, aby umiała słuchacza, trochę bardziej wybrednego, zainteresować wykonaniem pieśni, zwłaszcza tych, których tempo jest żywsze. Nie przejmując się ona ich treścią głęboko; w duszy jej cierpienia bohaterów pieśniowych nie budzą niepokojów i tęsknego współczucia. Wykonanie jest wprawdzie *ein bisschen schwärmerisch*, ale tak spokojna, *pończoszkowa* poczyna (przy której słuchaniu żaden drut z pończoszki nie wyskoczy) nikogo nie wzruszy. Przytem *śpiewać* — nie umie...

Rzadko kiedy da nutę szczerą, dobrze opartą — najczęściej nuta się rozpryska, a raczej rozmazuje, lub też się na nią pracowicie *wjędza*... Nie, stanowczo od Niemców nie należy się uczyć emisji! Wysoce dodatnią stroną kilku ostatnich wieczorów Towarzystwa były chóry, w tym roku prowadzone z widoczną starannością i śpiewające z dokładnym cieniowaniem i jednością.

Nie należy również, we wspomnieniach dodatkowych, zapomnieć o dwukrotnym w Towarzystwie występie panny Wąsowskiej fortepianistki, której gra pełna finezyi, wdzięku i nieposzlakowanej techniki zaczyna już oddziaływać magnetycznie na publiczność. Artystka umiała wytworzyć sobie indywidu-

alność, pełną kobiecości i wesołej werwy, a będąc panią swych środków, zdoła w każdy wykonywany przez się utwór wlać to życie, które jej duszę przejmuje, a które słuchacz doskonale odczuwa i z niem się solidaryzuje.

Nie schodząc z estrady sal Redutowych, musimy jeszcze poświęcić krótką wzmiankę koncertowi „Lutni“ (drugiemu z kolei w sezonie), który się odbył w dniu 21 Grudnia. Najważniejszą na nim okolicznością była chwilowa zmiana dyrygenta, p. Maszyński bowiem od miesiąca przeszło złożony chorobą, zmuszony był oddać battutę w ręce pana Władysława Rzepko. Wybór ten okazał się nader szczęśliwym; w wykonaniu bowiem programu w dniela taż sama co i zwykle staranność i opracowanie, co tem bardziej podnieść należy, że wiele numerów było zupełnie nowych, a więc wymagających większej pracy w ich przygotowaniu. Do najbardziej udatnych zaliczamy pieśń kolędową staro-francuzką w układzie Kremsera, odznaczającą się szlachetną prostotą i dobrym smakiem. Oprócz tego z nowości odpiewała „Lutnia“ „Różyczkę“ Storch'a, „Zalecanki“ Zöllner'a, oraz „Las“ Roberta Franz'a. Interesującym momentem koncertu były występy kwartetów męzkich w różnych kompletach; z tych najlepiej był wykonany kwartet Buck'a: „Wzbił się ptak“. Nowości kwartetowe, mianowicie: „Wiosna“ Maszyńskiego, oraz „Sałata włoska“ Genée'go były bardzo interesujące, pierwsza jako kompozycja poważna, druga jako dowcip. Ta „sałata“ ma wprawdzie te wady, że jest zbyt długa, zresztą nie pozuje ona na dzieło klasyczne; ale naśladowanie przez głosy różnych instrumentów, wyszydzenie włoskiego pathosu, i t. d. ma dużo komicznej i pomysłowej charakterystyki.

Oprócz Lutni, w koncercie przyjmowała udział wysoce utalentowana nasza śpiewaczka, panna Justyna Machwicówna, oraz Stanisław Barcewicz.

Te imiona niech już czytelnikom zastąpią sprawozdanie, które musiało-by się rozpląwać w długich hyperbolach, a tu czas nagli, i miejsce skąpo mamy wydzielone...

I jeszcze o jednym wieczorze Tow. Muzycznego przypomnieć nie można, na którym p. Brykner wybornie i interesująco odegrał słynną fugę Beethowena w Sonacie op. 106. Dzieło to niezmiernie ciekawe jest postrachem fortepianistów, a jednak tak wystudyowane musi zająć każdego, i szalony trud jego nauce nie może być nazwany bezowocnym.

Przejdźmy nareszcie do trzeciego świetlanego punktu naszego sprawozdania — do występów barytonisty Battistiniego w operze. Dla czego stawiamy je na tak wysokim świeczniku? Przedewszystkiem dla tego, że głos ludzki cenimy nad wszystkie instrumenta, i że szanujemy niezmiernie wszystkich tych, którzy z tym drogocennym materiałem obchodzić się umieją. A to właśnie ujawnia się najwięcej w Battistinim. Jego emisja wzorowa sprawa, że każdy dźwięk jest miękki jak aksamit, niewymuszony jak — francuzki dowcip a przytem szlachetny jak — bohater angielskiej powieści. Battistini jest niezawodnie kuzynem duchowym braci Reszke — tyle w nim jest inteligencji i stylu. Głos — szczerze mówiąc — nie jest duży — i nawet w „Afrykance“ brakło mu siły; w ogóle jednak umiejętne jego użycie, oraz poparcie akcentem i deklamacją sprawia nieraz złudzenie zupełnej siły, jak to widzieliśmy w znakomicie wycieniowanej roli Don Carlosa w Ernanim. Dodać należy, że artysta gra bardzo dobrze, że nie tylko kostiumy, ale poży nawet studyował na starych obrazach, że zatém w stworzonej przez siebie postaci scenicznej niczego nie brakuje, aby sprawić pożądane złudzenie. Takie kreacje pozostają w pamięci, i tworzą nawet niewygodną miarę porównania dla innych artystów, zwłaszcza jednocześnie występujących.

Szczególniej w jego obecności tracił występujący od Grudnia tenor p. Cardinali, śpiewak oryginalny, w którym wielkie zalety i większe jeszcze wady w dziwnym kojarzą się połączeniu. Temperament posiada on gorący, poczucie sceny niepospolite, grę zwłaszcza w „Otellu“ pełną wyrazistości, prawdy i siły; przytem materiał wokalny dość potężny i wsparty jedyną deklamacją. Zdawało by się, że przy tylu stronach dodat-

niech nie znajdzie się już materiału na krytykę i niezadowolenie, a przecież jedna tylko okoliczność wystarcza, aby śpiew tego artysty uczynić niemiłym, czasami nieznosnym. Jest to emisja głosu płaska, krzykliwa; śpiewa on głosem tak zwanym *białym*, tonami przeważnie otwartymi i jaskrawymi. Śpiew taki przedstawia się trywialnie, i mimo całej swej wyrazistości zupełnie się z estetyką kłóci. Wśród tych nut brzydkich pojawia się wprawdzie niekiedy pojedynczy ton lub cały frazes, wzięty prawidłowo i okrągło, który słęsknionemu słuchaczowi robi wrażenie oazy na pustyni — ale cóż nam po oazach, jeżeli np. u Battistini'ego możemy podziwiać najwspanialsze krajobrazy?

Występująca stale sopranistka pani Bonaplata Ban, przedstawia się sympatycznie; nie jest to artystka dramatycznie — wokalna pierwszej wody, ale posiada szkołę, głos przyjemny, choć nie imponującą siłą, oraz grę staranną i inteligentną. Zresztą dla nas każdy artysta, co oprócz forte posiada i piano, już zasługuje na uznanie i — wdzięczność; a właśnie pani Bonaplata w ostatnim akcie „Otelła,” w duetach „Aidy,” wykazała cieniowania ładne i poetyczne, a w „Ernanim” i „Afrykance” dowiodła, że i techniczne trudności jej nie przerażają.

Taką mnogość teraz sylwetek włoskich mamy do kreślenia, że już i barw na palecie zabraknąć może... Oto nowa, a tylko jak meteor po kilku występach nas opuszczająca artystka — panna Guerini, energetyczny mezzo — sopran. Jej wygląd trochę nieestetyczny, szorstkawy. Wszakże pod tą powłoką nie zbyt obiecującą kryje się i głos piękny i dusza prawdziwie artystyczna. Ta pani, gdy czuje potrzebę oddania dramatycznego efektu, nie żałuje ani sił swych, ani powstrzymuje zapалу — Czwarły akt „Aidy” oddała wspaniale, i była prawdziwie wrzuszająca w swej grozie i sile Amnerydy. W „Faworycie” również umiała do nas przemówić tak samą pięknoscia organu, jak i ekspresją.

Po tej sylwetce w szerokim stylu niech nam wolno będzie nakreślić wdzięczny obrazek rodzajowy. Wzrost średni — raczej trochę wysoki; rysy pełne ujmującej prostoty i naturalności — gra skromna, lecz szlachetna. Ta powabna *szatynka* nazywa się Biondelli, a znana nam jest z przeszłorocznych występów. Szkoły posiada trochę, ale zdaje się nie wykończoną dostatecznie — poszła bowiem na sceny jako sopran (i k) koloraturowy, nie zdążywszy wyrobić sobie weale nut niskich, tyle potrzebnych, i nie wzmocniwszy dostatecznie rejestru najwyższego, który sięga wprawdzie aż do E na trzeciej dodanej, ale brzmi nader słabo. Nuty właściwej skali sopranowej (od dwu — do trzykreślonego C) brzmią dobrze, nawet dźwięcznie. Ale wszystko razem użyte sprawia wrażenie bładowe, bez pieprzku i energii. O nowo — zaangażowanym (jeszcze jednym!) tenorze, panu Castellano, tyle tylko powiedzieć możemy, że jest bardzo przystojny, i że wystąpił po raz pierwszy po kilkutygodniowej chorobie, z której widocznie nie był jeszcze wyleczony.

Jan Kleczyński.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Walka motyli, komedia w 4-ach aktach H. Sudermanna, tłumaczona z niemieckiego przez Gabryela Kempnera.

Nie rozumiemy dlaczego najnowsza sztuka Sudermanna, wystawiona przed kilku miesiącami jednocześnie w Berlinie i Wiedniu, nie doznała takiego powodzenia, na jakie zasługuje; w Berlinie, który „Honorem” się zachwycił, „Koniec Sodomy” przyjął z wielkim uznaniem, „Gniazdo rodzinne” żywo oklaskiwał, na premierze „Walki motyli” — sykało.

Należałoby najpewniej powodu tej zmiany — przynajmniej pozornej zmiany usposobienia w publiczności i pewnej części krytyki szukać w mie-

scowych stosunkach, w koleżeńskich zawiściach, w małych intrygach redakcyjno — zakulisowych a wreszcie w zbyt wielkim i szybkim powodzeniu autora.

I w Berlinie, tak jak wszędzie zresztą, zabytek powodzenia nie przychodzi bezkarnie, i tam nie wolno wyrastać za bardzo i za pośpiesznie po nad ezupryny rozmaitych wielkich i małych, tych ostatnich zwłaszcza przedewszystkiem.

Można mieć duży talent nawet i żyć z nim lata całe spokojnie, nie poruszwszy przeciw sobie gniazda szerszeni i rojów trutni, byle się tylko z talentem tym siedziało cichutko w kącie, nie zdobywało rozgłosu i popularności, nie wysuwało naprzód, nie stawało na widoku.

W nekrologach po śmierci miałoby się za to spóźniony wyraz uznania i ubolewania, że „taki talent” zeszedł ze świata zapoznany, zmarnowany za życia, zabity milezeniem i obojętnością etc. etc.

Frazesy tego rodzaju stały się już nekrologowym szablonem.

Uchowaj Boże tylko, aby w poczuciu swojej siły żywotnej i energii twórczej, ten sam talent wzbił się za wysoko, zwracał na siebie uwagę szerszą, zdobył popularność za wielką, przypominał się za często, — znajdując się w tej chwili obrażeni i pokrzywdzeni, którzy zaczęli go obniżać, ściągając z wyżyn, kwestyonować jego wartość, oblewać zimną wodą gorących jego wielbicieli i... sykać na najlepszej jego sztuce, aby tylko zepsuć nowy tryumf i nowe powodzenie autora.

Powiadają, że jest to „prawo reakeyi,” ale właściwiej byłoby je nazywać „prawem zawiści.”

W ten tylko sposób wytłomaczyć sobie mogę ową niespodziewaną porażkę, jakiej na pierwszym przedstawieniu doznała „Walka motyli” Sudermanna w Berlinie wobec sukcesu jej i przyjęcia na scenie warszawskiej, która do sztuk niemieckich nie wiele miała szczęścia.

Prawdę powiedziawszy, pierwszy Sudermann swoim „Honorem” przełamiał to mniej lub więcej usprawiedliwione uprzedzenie do komedii i dramatów z nad brudnej Sprewy i modrego Dunaju.

Co prawda, z całej drużyny współczesnych talentów pisarskich w Niemczech (mówię tylko o dramaturgach), dwa jedynie miałyby prawo obywatelstwa na wszystkich niemal europejskich scenach dzisiejszej doby, — Sudermann i Hauptmann.

Autor „Honoru” i autor „Tkaczy,” to prawdziwe chluby dramatycznej literatury w Niemczech a gdy się zważy, że obaj zaledwie trzydziestkę przekroczyli i w twórczości swej południa dotąd swego nie dosięgli, można po jednym i po drugim spodziewać się niepospolitych jeszcze dzieł rzeczywistego talentu.

W genezie pisarskiej Sudermanna „Walka motyli” jest właśnie dowodem takiego coraz więcej obiecującego postępu.

Sztuka to pod względem psychologicznym, obserwacyjnym i społeczno-moralnym niezaprzeczenie najlepsza a przynajmniej najdojrzała ze wszystkich jego dotychczasowych.

Mniejsza o to, że pod względem motywów dopatrzeć się ktoś pewnych analogii z takimi „Vergine” Marka Pragi lub „Demi-vierges” Pászatza, — bo jednocześnie Włoch, Francuz i Niemiec, każdy na innym gruncie, w innym społeczeństwie i na innym tle pochwylił z życia wydarty temat i przeniósł go z właściwym talentem pisarza i obserwatora do literatury współczesnej.

Czem jest właściwie owa „Walka motyli,” która jako tytuł służy zarówno przewodniej idei autora i jest realnym szczegółem samej sztuki?...

Jest ona przedstawieniem zapasów, codziennych a nieproporcjonalnych do sił i środków wątplych istot z trudnościami życia, jest *sui generis* walką o byt, w której słaby motyl walczy nie siłą ale pięknoscia swych skrzydeł, w której zwycięstwo jego jest i jego zguba zarazem.

Kreśląc tę walkę wprost ze wzorów żywych, autor zdaje się wskazywać nam jednocześnie jej moralne a raczej demoralizujące konsekwencye, kiedy zbyt wątłe siły zmierzyć się muszą z przeciwnikiem stokroć mocniejszym, nie przebijają w środkach, byle tylko nie dać się przez niego pokonać.

Przeciwnikiem takim jest życie i warunki pewnych egzystencji bez jutra i bez dnia dzisiejszego często. Zobaczymy, jak się to w sztuce przedstawia.

Wdowa po urzędniku, p. Hergentheimowa, pozostała na bruku z małą pensyjką i trzema córkami, które — jak piękne motyle — mają tylko ładne skrzydła na swoją obronę.

Natura dała im wdzięki, nadobne twarzyeczki, białe, delikatne, ale za słabe do pracy ręczki a los pozostał na tym poziomie społeczno-towarzystkim, na którym stał ich nieboszczyk ojciec. Odkąd go zabrakło, zabrakło wraz z nim środków do odpowiedniego utrzymania i od owej chwili rozpoczęła się „walka motyli.”

Najstarsza Elżunia poszła za mąż, ale po krótkim pożyciu z mężem owdowiała; biedaczysko wleb sobie strzeiła, nie mogąc udźwignąć ciężaru swych obowiązków. Średnia Laura jest Wenereą wyrzeźbioną w młodem sadle; piękna, świeża, ponętna, ale głupia, leniwa i ociężała. Najmłodsza szesnastoletnia Różia, jest motylkiem, który dopiero — co z poczwarki się rozwinął; nie miała czasu jeszcze obetrzeć sobie skrzydełek z barwnego pyłu, który jej siostry w podjazdowych utarczках mniej lub więcej odpruszyły. Jest malarką, zarabia na życie malowaniem wachlarzy po pół marki od sztuki dla dużego, hurtownego składu p. Winckelmanna a obie siostry pomagają jej, wykonyując według szkicowanych przez Różię wzorów kolorowe obrazki walczących z sobą motyli.

Matka zajmuje się haftem.

I w ten sposób we cztery żyją z dnia na dzień, nie znając innych słodczy, oprócz szlazuowych cukierków, które im kuzynek farmaceuta przynosi od czasu do czasu z apteki i innego zbytku, oprócz kołniskiej wody, którą tą samą drogą dostają.

A żyć się chce i użyć choć trochę, kiedy się zakosztowało raz już lepszego bytu, gdy się jest młodą, ładną a co najważniejsza — i zepsutą już potrosze w dodatku.

Elżunia, jako wdowa mniej pod tym względem okazuje skrupułów od swojej siostry, panny, która marzy nie tyle o hołdach i uwielbieniach dla swej piękności, ile o złapaniu bogatego męża, zwłaszcza iż zwróciła na siebie uwagę aż pewnego hrabiego, który — gotów się i ożenić, jak utrzymuje Laura w swej naiwności.

A gdyby się nawet i nie ożenił, to... zawsze to pan hrabia. Kto wie zatem, jaką konkurent taki korzyść przynieść może.

Tymczasem siostra Elżbieta w swoim wdowim stanie znalazła sobie po jakimś oficerze pocieszyciela w osobie pana Kesslera, komisanta firmy Winckelmanna.

Ten Kessler jest wybornym i nowym typem berlińskiego commis-voyageur'a, który z próbkami swego „domu” jeździ po całej Europie i zbiera obstatunki dla firmy; jest płytki, ale wygadany, eleganci ale niesmaczny, błagier ale sprytny, odnajduje pokój od pani Hergentheimowej i romansuje z jej najstarszą córką a najmłodsza to ich *postillion d'amour*.

Przypadek chce, że syn starego Winckelmanna, Max, młodzieniec zahukany, nieśmiały, wychowany w biedzie przez matkę, która porzuciła ojca, bo ze starym egoistą i kutwą wyżę jej było trudno, zrążony do ludzi i świata, zamknięty w sobie, ale poczciwy, zący i szczerzy charakter, zobaczył gdzieś Elżbietę, zakochał się i oświadczył.

Przyjmują go naturalnie z otwartymi rękoma, bo jest synem milionera; jakże go nie przyjąć, skoro przez niego cała rodzina może poprawić sobie los i pozbyć się niedostatku?... Elżunia żaręcza się, bez namysłu, choć się jej Max nie podoba — za nudny, za poważny, za małomówny i za nieśmiały jest dla niej, zwłaszcza w porównaniu z wygadany Kesslerem, ale gotowa go poślubić, czyli popełnić w życiu jedno kłamstwo więcej — dla chleba.

One wszystkie przecież tem kłamstwem żyły dotąd, kłamiąc pozorami, kłamiąc przed światem, przed matką, przed sobą, aby tem kłamstwem wyłudzić od życia to, czego inaczej zdobyć nie mogły dla siebie. To nawet nie przewrotne z gruntu natury, nie złe serca i dusze, to tylko zepsute bieda i udawaniem istoty, które przywykły kłamać i pozorną tylko zachowywać równowagę między występkiem a moralnością.

Jedna Różia ma oczy otwarte, pomimo swojej naiwności i niedoświadczenia; ona to widzi, że wszystkie źle robią w domu i poza domem, ona je wszystkie kocha i boleje nad tem, ale za słabą jest,

aby coś poradzić mogła. Niechże się to życie toczy dalej, jak się toczyło, byle w przepaść nie runąć!

Małżeństwo Elżbiety nie dochodzi do skutku, bo im się nie udaje, bo „nie mają szczęścia do niczego“.

Max przydybuje swą narzeczoną na ostatniej schadzce z Kesslerem, kiedy przebrana w kostium motyla (miała pójść na dziewiczy wieczór jednej z przyjaciółek, wychodzących za mąż), spija szampana z byłym kochankiem w obecności najmłodszej siostry i podochocona trunkiem zapomina o swoich nowych obowiązkach względem narzeczonego.

W wybornej i bardzo oryginalnie napisanej scenie, Max dowiaduje się z ust ululanej i rozmarzonej Rózi, że Elżbieta go zdradza i nie godną jest, by została jego żoną.

— Ty się z nią nie żeni, bo ona zła, — mówi do niego zbudzona ze snu dziewczyna, którą upili szampanem, aby na schadzce nie przeszkadzała, — ty się lepiej ze mną ożeń Maxie!

Mówi to na pół przytomna, naiwnie, ale szczerze i tem zrywając bezwiednie małżeństwo siostry, zdradza się z tajemnicą własnego serca, które pokochało przyszłego szwagra i miłość te tłumiło w sobie, nie zdając sobie dobrze sprawy ze swoich uczuć względem Maxa.

Sztuka kończy się jednak nie rozdźwiękiem zupełnym, ale połączeniem tych dwojga młodych i dobrych dusz, które do siebie ciągną i lgną jakimiś powinowactwem czystszych charakterów i smutków życiowych. Max i Rózia pobiorą się a w ich związku leży jakby zarodek rehabilitacji i podźwignięcia z materialnego i moralnego upadku reszty rodziny.

Ten czwarty akt w kantorze Winckelmana pod względem sceniczności, prawdy życiowej, i idei sztuki jest jej koroną i jednym z najlepszych, jakie Suderman dotychczas napisał.

Ostatnia rozmowa, którą ma matka Hergentheimowa z cheiwym i interesownym filistrem Winckelmannem, stanowi bardzo charakterystyczny i silny efekt w sztuce.

Na zarzut, że go okłamywała, chcąc wyswatać córkę za jego syna, przyznaje się, że tak, bo ją życie popychało ciągle po takiej drodze udawania i fałszu; z gorącą przemawia do niego na swoje usprawiedliwienie:

— Czy pojmujesz pan, jakie życie męczarni przeszłam?.. czy wiesz pan ile kosztuje funt mięsa, ile funt masła z margaryny?... A tu przecież trzeba i sukni, i trzewików, i mieszkać gdzieś, i pokazać się między ludźmi. Pan płaciłeś nam sześć marek za tuzin wachlarzy, gdy jeden wachlarz przez pół dnia malować potrzeba. A pan nie płaciłeś jeszcze najgorzej! — A przedtem jak ja żyłam, doprawdy nie wiem!.. Co mogły przynosić hafty na bieliznie i jak się z tego utrzymać można było?..

Nie uniewinnia to jej, jako matki ze stanowiska etycznego, że nie umiała w biedzie wychować uczciwie i moralnie swoich dzieci, ale wprowadza okoliczności łagodzące dla niej, rzuca jaśniejsze światło na nią, jako na typ tej warunkami zbyt ciężkimi przygniecionej istoty, która błędząc, błędziła przez zbytnią, ślepą i bezwzględną miłość macierzyńską dla swoich córek, szukając dla nich szczęścia w świecie.

Pomyliła się tylko w środkach, któremi to szczęście zdobyć chciała a nie posiadała sił, aby je zdobywać godziwiej ani dosyć moralnego gruntu w sobie, aby na nim oprzeć — prawdy i cnoty, jako najważniejszych kierowniczek człowieka.

Nie powiem, żeby sztuka Sudermanna przy wszystkich swoich zaletach nie posiadała w przeprowadzeniu tezy pewnych sofistycznych rysów,

które są mu właściwe, jako myślicielowi i ideologowi, jak również nie twierdzą, aby Sudermann realista na scenie nie miał się i tutaj w „Walce motyli“ z tem ścisłym i konsekwentnym prawdopodobieństwem środków, któremi się posługuje w przeprowadzeniu akcji. Te malowane po pół marki wachlarze przedewszystkiem nie wydają mi się w handlu Winckelmana artykułem tak ważnym, aby w jego spekulacjach kupieckich mogły odgrywać aż tak wielką rolę i skłaniać go do zezwolenia na związek syna z pomyslową Rózią dlatego tylko, żeby się z nią Kessler nie ożenił i nie wytworzył mu konkurencji; ta Rózia w swojej naiwności bywa niekiedy zanadto wielkim dzieckiem w stosunku do swojego charakteru i warunków życiowych, w których się wychowała. W akcji drugim przed schadzka siostry z Kesslerem tak długo i z takim naciskiem powtarza ciągle Winckelmannowi i Maxowi, aby po nią nie przyselali tego wieczoru do domu i nie przychodzili sami, jakgdyby chciała umyślnie podejrzliwość ich obudzić i zapowiedzieć, że się na coś złego zanosi. A potem ten pan Max, który narzeczonej nie pozwala iść na zabawę samej a nie poczuwa się do obowiązku spędzenia z nią razem tego wieczoru, aby jej wynagrodzić straconą przyjemność, wydaje mi się dosyć dziwnym narzeczoną. Nie rozumie też dobrze, dlaczego ma zwyczaj klasnąć w ręce z podwórza, ilekroć przychodzi po Rózię do matki, aby ją odprowadzić do kantoru, a nie facytuje się do nich aż na górę, skoro ma wolny już wstęp o każdej porze do domu, jak też nie pojmuję, dlaczego właściwie przychodzi owego właśnie wieczoru i klaszcze, skoro przyrzekł, że weale dzisiaj nie przyjdzie.

Chyba to robi dlatego, aby jak *deus ex machina* spłoszył zniemacka gruchającą parę przy szampanie.

Drobiazgi to tylko, lepiej jednak gdyby były logiczniej umotywowane.

W każdym razie sztuka zajmująca i warta widzenia a jako nabytek bardzo niewybrednie układanego repertoaru — wyjątkowej wartości.

Tłumaczenie sztuki dało powód do polemiki; jeden z krytyków wytknął słusznie usterek i błędy językowe w przekładzie, tłumacz zaś usprawiedliwił się, że z woli autora zachował umyślnie „zaniedbany, charakterystyczny, potoczny język oryginału.“ Nie o to chodziło w zarzutach, tylko o poprawność i o grzechy przeciw duchowi i formom języka polskiego. Każdy język ma swoje właściwości, których dosłownie przekładać nie podobna, choćby się największą wierność tłumaczenia miało na uwadze. Takim samym dziwolągiem byłby niemiecki *Himmelkrebs* zrobiony z polskiego „nieboraka“, jakim jest „spojrzenie z boku“, mające oznaczać niemiecki *Seitenblick*. Podobnych „dosłowności“ źle przystosowanych do naszego języka, jest dużo w tłumaczeniu sztuki Sudermanna i dobrzeby było, aby ktoś, co się zna trochę na stylu a choćby na gramatyce poprawiał język w tłumaczeniach obcych utworów, z nazbyt wielką pobłażliwością ze strony reżyserji wprowadzanych na naszą scenę.

„Walka motyli“, miała dobrą obsadę; wyróżniła się jednak najlepiej i najbardziej typowo pani Trapso w roli naiwno — lirycznej Rózi i pani Fedorowiczowa, jako piękna a ograniczona Laura.

M. Gawalewicz.

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż nowa ustawa aptekarska, wprowadza obowiązkowe używanie przez farmaceutów wag dziesiętnych.

— Reorganizacya departamentu gospodarczego ministerjum spraw wewnętrznych została ostatecznie ukończoną. Departament zamienionym będzie na główny zarząd z trzema oddziałami: pożywnia, dobroczynności publicznej i asekuracyi.

— Według ogłoszeń dzienników petersburskich ustawa stemplowa będzie wprowadzona w życie od d. 13 lipca bieżącego roku.

— Wyprowadzeniu zwłok ś. p. Podkowińskiego na Powązki towarzyszyła znaczna liczba osób. Na czele bardzo licznego oddziału malarzy postępował komitet Towarzystwa Sztuk Pięknych z wice-prezsem, p. Juliuszem Maszyńskim na czele. Od rogatki nieśli trumnę współtowarzysze zmarłego w sztuce, zwłoki spuszczone do grobu przy dźwiękach hymnów Moniuszki i Troszla, odśpiewanych chórem; następnie przemawiał p. Bohdan Wydzga, wykazując wielkie jego zamiłowanie sztuki. Zapowiadają urządzenie wystawy wszystkich prac zmarłego, czem ma się zająć zarząd Salonu Artystycznego; dochód przeznaczony będzie dla boleśnie osieroconej i samotnej już teraz matki zmarłego.

— Konkurs Towarzystwa Sztuk Pięknych został rozstrzygnięty przez komplet sędziów, złożony z dwóch członków komitetu Towarzystwa: wice-prezesa Wejsenhoffa i p. Holewińskiego, oraz zaproszonych budowniczych.

— Odezyt D-r Józefa Siemiradzkiego uczonego podróżnika, pod tytułem: „W Pompasach“, zgromadził licznie słuchaczy. Opowiedz to była wrażenie, wyniesionych z podróży po najdzikszych stepach Ameryki Południowej, odbytej w części znacznej w towarzystwie p. p. Hempla i Łaznińskiego. Dziewicze lasy tej części Ameryki mimo bogatej roślinności wywierają wrażenie przygnębiające, przez pęsnosć i jednostojność krajobrazu. Widok stepów weselszy jest i bardzo malowniczy.

— Dyrekeya Tow. Kredytowego m. Warszawy ogłasza, iż w przeciągu ubiegłego roku udzielono pożyczek na sumę 4.357.000 rs. Najwięcej pożyczek udzielono na sumy od 1.000 do 5.000 rubli. Czysty zysk z operacyi Towarzystwa wynosił 210.630 rs. Kurs listów zastawnych przedstawiał 101 rs. 55 kop. Depozyty złożone w kasie Towarzystwa, przedstawiały poważną sumę 20.306.550 rubli.

— Z Wiednia piszą, iż dla ożywienia handlu wozowego ma być urządzona w Londynie wystawa przemysłu Austrii i Węgier w Kensington na przestrzeni dwunastu tysięcy łokci kwadratowych. Ma też być wzniesiony tu zarazem pawilon teatralny ze sceną mogącą pomieścić 2.000 aktorów, miejsce dla widzów może ich przyjąć 20.000.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: powieść **Rubikon**, przez E. F. Benson. Przekład z angielskiego ark. 6.

TREŚĆ: Michał Cervantes.—Notatki pedagogiczne. — Bolesław Prus (Alexander Głowacki) przez J. Nitowskiego (dalszy ciąg).—Bluszcza, obrazek z życia rodziny, przez Maryana Gawalewicza (dalszy ciąg).—Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego.—Przegląd teatralny, przez M. Gawalewicza.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Rubikon, powieść przez E. F. Benson, przekład z angielskiego arkusz 6. — Przegląd mód. 39 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.